



PRAWO
Mojzesza

AMY HARMON

Bestsellerowa pisarka „New York Timesa”

Tytuł oryginału: The Law of Moses

Tłumaczenie: Marcin Machnik

Projekt okładki: ULABUKA

ISBN: 978-83-283-2231-8

Copyright © 2014 by Amy Harmon

All rights reserved.

Without limiting the rights under copyright reserved above, no part of this publication may be reproduced, stored in or introduced into a retrieval system, or transmitted, in any form, or by any means (electronic, mechanical, photocopying, recording, or otherwise) without the prior written permission of both the copyright owner and the above publisher of this book

Polish edition copyright © 2016 by Helion S.A.

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock Images LLC.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://septem.pl/user/opinie/pramoj>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: septem@septem.pl

WWW: <http://septem.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

I

GEORGIA

MOJŻESZA ZNALEZIONO zawiniętego w ręcznik w koszu na pranie w pralni Quick Wash, gdy miał zaledwie kilka godzin i był bliski śmierci. Pewna kobieta usłyszała jego płacz i wzięła go, przytuliła, okryła płaszczem i wezwała pomoc. Nie miała pojęcia, kim jest jego matka i czy wróci. Wiedziała tylko, że był niechciany, że umierał i że jeśli jak najszybciej nie trafi do szpitala, będzie po nim.

Nazwano go dzieckiem cracku. Mama powiedziała mi, że crack to rodzaj kokainy i że tak nazywa się dzieci, które rodzą się z uzależnieniem od tego narkotyku, gdyż ich matki brały w okresie ciąży. Dzieci cracku są zazwyczaj mniejsze niż inne dzieci, bo z reguły rodzą się przedwcześnie, a stan zdrowia ich mam pozostawia wiele do życzenia. Kokaina wpływa na fizjologię mózgu, przez co często mają ADHD i zaburzenia kontroli impulsów. Czasem cierpią też na różne ataki i schorzenia psychiczne. Bywają nadwrażliwe i mogą doświadczać halucynacji. Przypuszczano, że Mojżesz będzie dotknięty przynajmniej częścią tych dolegliwości, a może nawet wszystkimi.

Jego historia trafiła do przedpołudniowego dziennika. Była to świetna i budząca żywe emocje opowieść: noworodek porzucony w koszu na pranie w obskurnej pralni w niebezpiecznych okolicach West Valley City. Mama powiedziała, że dobrze pamięta tę historię i wzruszające zdjęcia ze szpitala, które przedstawiały walczące o życie dziecko z podłączoną do żołądka rurką do karmienia i malutką niebieską czapeczką na główce. Jego matkę znaleziono trzy dni później, chociaż nikt nie miał zamiaru oddać jej dziecka. Nie było zresztą takiej możliwości. Kobieta, która porzuciła dziecko w pralni, została uznana

za martwą, przypuszczalnie wskutek przedawkowania. Pogotowie przywiozło ją do tego samego szpitala, w którym jej dziecko kilka piętér wyżej walczyło o życie. Ją też ktoś znalazł, chociaż nie w palnii.

Jej współlokatorka, zatrzymana jeszcze tego samego dnia za prostytutkę i posiadanie narkotyków, powiedziała policji wszystko, co wiedziała o kobiecie i jej porzuconym dziecku, licząc na łagodniejsze potraktowanie. Sekcja zwłok wykazała, że kobieta faktycznie niedawno urodziła, a wykonane później badania DNA potwierdziły, że była matką chłopca. Cóż za szczęście dla malca.

W prasie tytułowano go „dzieckiem z kosza”, a personel szpitala nazywał go „małym Mojżeszem”. Ale w przeciwieństwie do biblijnego imiennika mały Mojżesz nie został znaleziony przez córkę faraona. Nie wychowywał się w pałacu. Nie miał siostry, która patrzyła zza trzciny, żeby się upewnić, że jego kosz zostanie wyłowiony z Nilu. Nie oznacza to jednak, że w ogóle nie miał żadnej rodziny. Mama powiedziała mi, że wybuchła lokalna sensacja, gdy się okazało, że zmarła matka była „dziewczyną z sąsiedztwa”. Nazywała się Jennifer Wright i każde lato spędzała z babcią, która mieszkała na tej samej ulicy co my. Babcia wciąż tam mieszkała, rodzice Jennifer rezydowali w sąsiednim mieście, a jej rodzeństwo, które wyprowadziło się już z rodzinnego domu, wielu mieszkańców nadal kojarzyło. Mały Mojżesz miał więc jakąś rodzinę, chociaż nie można powiedzieć, żeby którykolwiek z jej członków palił się do zajmowania chorym dzieckiem, które wedle wszelkich przypuszczeń miało się borykać z licznymi problemami. Jennifer Wright złamała ich serca i doprowadziła do tego, że wszyscy byli wycieńczeni i rozbici. Mama powiedziała mi, że tak to wygląda, gdy ktoś bierze. Dlatego nikt nie był specjalnie zaskoczony, kiedy się okazało, że zmarła zostawiła po sobie dziecko cracku. Mama mówiła, że wcześniej Jennifer była zupełnie normalną dziewczyną. Ładną, miłą, inteligentną, ułożoną. Ale nie na tyle inteligentną, żeby trzymać się z dala od metamfetaminy, kokainy i wszelkich innych substancji, których stała się niewolnicą. Wyobrażałam sobie, że Mojżesz, jako dziecko cracku, musi mieć gigantyczne

pęknięcie wzdłuż całego ciała^{*}. Wiedziałam, że nie chodzi o to znaczenie, ale taki obraz utkwił mi w pamięci. Może właśnie to, że był pęknięty, od samego początku mnie do niego przyciągało.

Mama opowiadała, że całe miasto śledziło historię małego Mojżesza Wrighta. Każdy oglądał reportaże, a tylko po to, żeby poczuć się ważnym, zmyślał to, czego nie wiedział, i udawał, że ma dostęp do ukrywanych informacji. Ale ja nie miałam okazji poznać małego Mojżesza, bo mały Mojżesz dorósł i stał się tylko Mojżeszem, przetrzucanym między różnymi członkami rodziny Jennifer Wright. Każdy zajmował się nim przez chwilę, a gdy nie mógł go już znieść, przekazywał go kolejnemu wujkowi, kolejnej cioci lub dziadkom. W każdym razie sensacja związana z jego znalezieniem skończyła się, zanim przyszedłam na świat. Kiedy go poznałam, a mama opowiedziała mi o nim, żeby pomóc mi go „zrozumieć i być dla niego miłą”, jego historia była już przestarzałym newsem i nikt nie chciał już mieć z Mojżeszem do czynienia. Ludzie kochają małe dzieci, nawet chore. Nawet dzieci cracku. Ale małe dzieci rosną i stają się nastolatkami, a nikt nie chce się kłopotać rozbitymi nastolatkami.

A Mojżesz był rozbity.

Do czasu, gdy go poznałam, wiedziałam już wszystko o rozbitych nastolatkach. Moi rodzice byli rodziną zastępczą dla wielu takich dzieciaków. Przez całe moje życie przyjmowali pod dach kolejne. Miałam dwie starsze siostry i starszego brata, którzy opuścili nasz dom, zanim skończyłam sześć lat. Byłam poniekąd wpadką i koniec końców dorastałam z nastolatkami, którzy nie byli moim rodzeństwem i którzy na zmianę pojawiali się w moim życiu i z niego znikali. To w pewnym sensie wyjaśnia, dlaczego moi rodzice odbyli przy naszym kuchennym stole kilka rozmów o Mojżeszu z Kathleen Wright, babcią Jennifer i jego prababcią. Usłyszałam wtedy mnóstwo rzeczy, których przypuszczalnie nie powinnam słyszeć. Szczególnie tamtego lata.

^{*} Crack to po angielsku „pęknięcie” — *przyp. tłum.*

Starsza pani zabierała Mojżesza na stałe do siebie. Za miesiąc kończył osiemnaście lat i wszyscy mieli go serdecznie dość. Lecz Mojżesz od najmłodszych lat spędzał z nią każde lato i była przekonana, że bez problemu się dogadają, gdy pozostali dadzą im spokój i pozwolą robić swoje. Nie wyglądała na zmartwioną faktem, że kiedy Mojżesz skończy osiemnaście lat, jej stuknie osiemdziesiątka.

Wiedziałam, kim był, i pamiętałam go z letnich wakacji, chociaż nigdy się z nim nie bawiłam. To nie było duże miasto i dzieci znały się nawzajem. Kathleen Wright przyprowadzała go do kościoła przez te kilka niedziel, gdy mieszkał u niej. Spotykałam go też na szkółce niedzielnej, na której wszyscy z zainteresowaniem obserwowali, jak nauczycielka próbuje skłonić go do jakiegokolwiek uczestnictwa. Nigdy jej się to nie udało. Mojżesz siedział na swoim metalowym rozkładanym krzeselku, jakby był do niego przyklejony, wykręcał ręce na kolanach i błędził wzrokiem po sali. Gdy tylko lekcja się kończyła, pierwszy ruszał w stronę drzwi, na słońce, i nie czekając na babcię, biegł do domu. Próbowałam go dogonić, ale zawsze udawało mu się wstać i dobiec do drzwi przede mną. Ale i tak go goniłam.

Czasem Mojżesz wybierał się z babcią na przejażdżkę rowerową lub spacer. Niemał codziennie babcia wyciągała go nad jezioro Nephi, czego zawsze mu zazdrościłam. Ja miałam szczęście, jeśli udało mi się wykapać w jeziorze kilka razy w ciągu całego lata. Gdy rozpaczliwie pragnęłam popływać, jechałam rowerem nad staw rybacki w kanionie Chicken Creek. Rodzice zabraniali mi tam pływać, bo woda była w nim zimna, głęboka i mętna, wręcz niebezpieczna. Wolałam jednak utonąć, niż w ogóle nie pływać. Chociaż jak na razie nie utonełam.

Rok wcześniej Mojżesz w ogóle nie pojawił się w Levan. Pojawił się dopiero po dwóch latach, chociaż Kathleen już od dawna domagała się, żeby został z nią na stałe. Według rodziny jednak babcia nie dałaby sobie z nim rady. Usłyszała od nich, że Mojżesz jest „zbyt wybuchowy, porywczy i temperamentny”. Najwyraźniej jednak sami mieli go dość i się poddali, bo ostatecznie wyłądownął w Levan.

Oboje zaczynaliśmy ostatnią klasę szkoły średniej, chociaż ja byłam we właściwym wieku, a on był o rok starszy. Oboje byliśmy wakacyjnymi dziećmi — Mojżesz skończył osiemnaście lat drugiego lipca, a ja siedemnaście dwudziestego ósmego sierpnia. Ale Mojżesz nie wyglądał na osiemnastolatka. W ciągu tych dwóch lat nieobecności znacznie wyrósł. Był wysoki, miał szerokie ramiona i wyraźnie zarysowane, żyłaste mięśnie, okrywające całe jego szczupłe ciało. Jasne oczy, wystające kości policzkowe i kanciasta szczęka sprawiały, że przypominał bardziej egipskiego księcia niż członka gangu, którym zgodnie z plotkami podobno był.

Uczestnictwo w lekcjach sprawiało mu trudności, bo miał problemy z koncentracją i usiedzeniem na miejscu. Według jego rodziny zdarzały mu się ataki i halucynacje, które próbowano opanować za pomocą różnych medykamentów. Słyszałam, jak jego babcia mówiła mojej mamie, że owszem, jest humorzysty i irytujący, ma trudności z zasypianiem i często się wyłącza, ale poza tym jest niezwykle inteligentny, wręcz błyskotliwy, i potrafi malować tak, jak jeszcze nigdy wcześniej nie widziała. Ale pod wpływem leków, które miały ułatwić mu skupienie i usiedzenie na miejscu, stał się powolny i niemrawy, a jego dzieła wyglądały mrocznie i przerażająco. Kathleen Wright powiedziała mojej matce, że odstawia mu tabletki.

— Te leki zmieniają go w zombie — mówiła. — Wolę podjąć ryzyko zajęcia się dzieciakiem, który nie umie usiedzieć na miejscu i nie potrafi przestać malować. W moich czasach nie było to nic złego.

Pomyślałam wtedy, że zombie brzmi nieco bezpieczniej. Mimo całej swej urody Mojżesz Wright wyglądał przerażająco. Ze swoim szczupłym ciałem, brązową skórą i tymi niezwykle jasnymi oczami przypominał mi dzikiego kota. Opływowego, niebezpiecznego, cichego. Zombie przynajmniej porusza się powoli. Dzikie kot skacze. Przebywanie w towarzystwie Mojżesza było jak zaprzyjaźnianie się z panterą, więc podziwiałam jego prababcię za to, że go przyjmuje do siebie. Wykazała się większą odwagą niż ktokolwiek inny.

Jako jedna z trzech dziewczyn w moim wieku na całe miasteczko byłam samotna częściej, niż bym sobie tego życzyła, szczególnie że ani jedna, ani druga rówieśniczka nie przepadała za końmi i rodeo w takim stopniu jak ja. Kolegowałyśmy się na tyle, żeby mówić sobie „cześć” i siadać razem w kościele, ale nie na tyle, żeby spotykać się częściej i razem zabijać czas w nudne letnie dni.

To lato było wyjątkowo gorące. Dobrze to pamiętam. Poprzedzała je rekordowo sucha wiosna, po której przez całe lato nieustannie wybuchały pożary. Farmerzy modlili się o deszcz, a szargający nerwy skwar sprawiał, że wszyscy byli nabuzowani i na krawędzi wybuchu. Doszło też do zaginięć w okolicznych hrabstwach środkowego Utah. Chodziło o dwie dziewczyny z dwóch różnych hrabstw. Jedna z nich podobno uciekła z chłopakiem, a druga miała beznadziejną sytuację w domu. Ludzie zakładali, że wszystko skończy się dobrze, lecz w ostatnich dziesięciu czy piętnastu latach zdarzyły się podobne przypadki, których nie udało się wyjaśnić, więc wszyscy rodzice byli wyjątkowo nerwowi w tej kwestii i nieco uważniej pilnowali swoich pociech. Moi rodzice także.

Wszystko to wzbudziło we mnie zniecierpliwienie i żal. Miałam straszną ochotę coś zrobić i nie mogłam się doczekać końca szkoły i początku nowego życia. Ćwiczyłam się w barrel racingu* i chciałam ruszyć swoją półciężarówką z przyczepą na konie w trasę po wszystkich okolicznych zawodach. Marzyłam o wolności z moimi końmi, kolejnych zwycięstwach i otwartej drodze przed sobą. Pragnęłam tego z całego serca. Ale miałam siedemnaście lat, a rodzice obsesyjnie zamartwiali się tymi zaginięciami, więc nie chcieli mnie puścić samej, a nie mogli ze mną pojechać. Obiecali, że wymyślimy coś, gdy skończę szkołę i będę już miała osiemnaście lat. Ale koniec szkoły był tak odległy, a lato rozciągało się przede mną niczym

* Barrel racing — dyscyplina jeździecka, której celem jest jak najszybsze przejechanie trasy dookoła beczek, w USA często uprawiana przez kobiety — *przyp. tłum.*

wyjałowiona pustynia. Może o to chodziło. Może dlatego rzuciłam się na to ze zbyt dużym zapałem i zdecydowałam się na coś, czego nie byłam w stanie ogarnąć.

Niezależnie od przyczyny, gdy Mojżesz przybył do Levan, był jak woda — zimny, głęboki, nieprzewidywalny i, jak staw w kanionie, niebezpieczny, bo nie dało się zobaczyć, co kryje się pod powierzchnią. A ja zachowałam się tak jak zwykle: wbrew zakazom rzuciłam się na główkę. Tyle że tym razem utonąłam.



— NA CO SIĘ GAPISZ? — powiedziałam ostro do Mojżesza, obdarzając go w końcu tym, czego według mnie pragnął, czyli swoją uwagę. Wszystkie przygarnięte przez moich rodziców dzieciaki pragnęły uwagi, jakby była powietrzem, którego potrzebowały, aby się nie udusić. Nienawidziłam tego. Nie tego, że potrzebowały jej od moich rodziców, lecz tego, że zdawały się potrzebować jej także ode mnie. Nie lubiłam, gdy ktoś zakłócał mi moją samotność z końmi. Konie się o nic nie dopraszały, a wszyscy inni nieustannie czegoś ode mnie chcieli i myślałam, że od tego oszaleję. A teraz w stodole zjawił się Mojżesz, który gapił się na mnie i przeszkadzał mi w spędzaniu czasu z Sackettem i Luckym, moimi końmi, wysysając z pomieszczenia cały tlen jak każde trudne dziecko.

Kathleen Wright spytała moich rodziców, czy nie mieliby nic przeciwko, żeby Mojżesz spalił nieco swojej obudzonej po odstawieniu leków energii na naszej małej farmie. Stwierdziła, że mógłby sprzątać odchody, pielic ogródek, kosić trawę, karmić kurczaki. Cokolwiek, co trzeba zrobić, byle miał jakieś zajęcie przez lato. Najlepiej aż do rozpoczęcia szkoły, jeśli to wszystko wypali. Te czynności należały wcześniej do moich obowiązków, więc cieszyłam się z jego pomocy, jeśli miała oznaczać, że ja nie będę musiała tego robić. Ale mój ojciec znalazł dla Mojżesza inne prace, które ten wykonywał

z takim zapalem, że wkrótce ojcu skończyły się pomysły. Niemożliwością było zapewnić Mojżeszowi zajęcie na całe lato.

Najwyraźniej na liście jego obowiązków mój ojciec uwzględnił także sprzątanie stodoły i Mojżesz od rana jak opętany układał bele siana, zamiatał, czyścił i porządkował. Sama nie wiedziałam, czy jego obecność mi tu odpowiada, czy nie. Szczególnie gdy nagle po prostu stanął z rękami po bokach i się gapił. Nie na mnie. Patrzył przez moje ramię dalej, a jego żółtozielone zwierzęce oczy były wielkie jak spodki. Stał kompletnie bez ruchu, czego nigdy wcześniej u niego nie zaobserwowałam, ani razu. Nie zareagował na moje pytanie, lecz jego palce się poruszyły, zaciskając się tak, jakby chciał poprawić krążenie krwi. Tak robiłam, kiedy czekałam na autobus i nie miałam rękawiczek. Ale teraz był lipiec i panował niemiłosierny skwar, więc nie sądzę, żeby było mu zimno w palce.

— MOJŻESZ! — krzyknęłam, próbując wyrwać go z tego transu. Bałam się, że jeśli tego nie zrobię, dostanie jakiegoś ataku i zacznie się wic na ziemi w drgawkach, a ja będę musiała robić mu sztuczne oddychanie czy coś. Myśl o przyłożeniu ust do jego ust wywołała dziwne doznanie w moim brzuchu. Zastanawiałam się, czy potrafiłabym przycisnąć wargi do jego warg, nawet jeśli chodziłoby tylko o wdmuchnięcie w niego powietrza. Nie był brzydki. Już raz kiedyś czułam to zabawne poruszenie w trzewiach, które w zasadzie nie było nieprzyjemne. Mojżesz wcale nie był brzydki. Raczej w nietypowy sposób piękny — wyglądał inaczej, szczególnie przez te swoje dziwaczne wilcze oczy. Musiałam przyznać, że dziwność mu pasowała. Wyglądał spoko. Szkoda, że był rozbity.

Moi rodzice wykorzystywali konie w terapii trudnych dzieci. To oni opracowali ten dość znany program, który był całkowicie niewerbalny, bo konie przecież nie mówią. Coś takiego mówili na prezentacjach, żeby rozśmieszyć i rozluźnić widownię. Konie nie potrafią mówić, ale dzieci także czasem nie potrafią, a hipoterapia — wymyślny termin oznaczający nawiązywanie więzi z koniem i radzenie sobie ze swoimi problemami poprzez obserwację tego zwierzęcia

— była dla moich rodziców źródłem utrzymania. Prócz tego mój ojciec pracował jako weterynarz. Ja też chciałam być weterynarzem, gdy dorosnę. Nasze konie były dobrze wyszkolone i przyzwyczajone do dzieci. Wiedziały, że mają stać bez ruchu, gdy dziecko podchodzi i gdy jest blisko. Miały wprost anielską cierpliwość. Pozwalały obcej osobie założyć uzdę, a nawet pociągnąć za wargę, żeby włożyć wędzidło. A dzieci reagowały w sposób, który dorośli opisywali słowami w rodzaju „cud” i „przełom”, kiedy przyjęte przez moich rodziców problematyczne dziecko wracało na łono rodziny lub ruszało własną ścieżką.

Mojżesz kręcił się tu przez ostatnie dwa tygodnie. Pracował, pielął chwasty, jadł — do licha, ile on jadł — i generalnie działał mi na nerwy, bo był strasznie niepokojący. Nie robił nic złego. Po prostu w jego obecności byłam roztrzęsiona. Nie mówił do mnie, co jak sobie wmawiałam, było jego jedyną zaletą. To i jego zimne oczy. I mięśnie. Wzdrygnęłam się, czując lekką odrazę do siebie. Był dziwny. Co ja sobie myślałam?

— Jeździłeś kiedyś na koniu? — spytałam, żeby się oderwać od tych myśli.

Mojżesz wyglądał, jakby wyrwał się ze snu na jawie, który zmuszał go do stania bez ruchu i wpatrywania się w pustkę.

Na chwilę skupił spojrzenie na mnie, ale nie odpowiedział, więc powtórzyłam pytanie.

Potrząsnął głową.

— Nie? A byłeś kiedykolwiek blisko konia?

Ponownie potrząsnął głową.

— Chodź. Podejdź bliżej — powiedziałam, wskazując podbródkiem konia. Myślałam, że może pomogę Mojżeszowi odrobiną hipoterapii, jak mama i tato. Im to wychodziło. Uznałam, że mogę zrobić to, co oni. Że w ten sposób wyleczę jego rozbity mózg.

Mojżesz zrobił krok w tył, jakby się przestraszył. Odkąd pracował na farmie, jeszcze nigdy nie zbliżył się do zwierzęcia. Nigdy. On je tylko obserwował. Tak jak mnie. I nic nie mówił.

— No, śmiało. Sackett to najlepszy koń świata. Przynajmniej go trochę poklep.

— Przestraszę go — odpowiedział.

Wzdrygnęłam się po raz kolejny, gdy pierwszy raz usłyszałam jego głos. Nie był dwutonowy, jak u mojego przybranego brata Bobby'ego i wielu innych chłopców, których głos sprawiał wrażenie, jakby przeskakiwał między stopniami w drodze do piwnicy, skrzypiąc i zmieniając się w poszukiwaniu ostatecznej barwy. Głos Mojżesza był głęboki, ciepły i tak miękki, że muskał moje serce, wpływając do mojego wnętrza.

— Nie przestraszysz. Sackett niczym się nie ekscytuje. Nic go nie przeraża i nie denerwuje. Mógłby tak stać przez cały dzień i pozwoliłby ci się uściskać, gdybyś zechciał to zrobić. Lucky mógłby ugryźć cię w rękę i kopnąć w twarz. Ale nie Sackett.

Lucky był koniem, o którego zabiegałam przez długie miesiące. Ktoś dał go mojemu ojcu w ramach zapłaty za usługi, na które nie było go stać. Ojciec nie miał czasu na humory Lucky'ego, więc dał go mnie ze słowami:

— Bądź ostrożna.

Zaśmiałam się. Nigdy nie byłam ostrożna.

Też się zaśmiała, lecz potem mnie ostrzegł:

— Mówię poważnie, George. Nie bez powodu nazwano go Lucky, czyli „szczęściarz”. Będiesz miała szczęście, jeśli w ogóle pozwoli ci się kiedyś dotknąć.

— Zwierzęta mnie nie lubią — głos Mojżesza był tak słaby, że nie wiedziałam, czy dobrze go zrozumiałam.

Otrząsnęłam się z myśli o Luckym i poklepałam mojego wiernego towarzysza, który był ze mną, odkąd potrafiłam usiedzieć w siodle.

— Sackett lubi wszystkich.

— Mnie nie polubi. A może nie chodzi o mnie. Może chodzi o nich.

Rozejrzałam się zdezorientowana. W stodole nie było nikogo poza Sackettem, Mojżeszem i mną.

— O jakich „nich”? — spytałam. — Nikogo tu nie ma poza nami, człowieku.

Mojesz nie odpowiedział.

Patrzałam więc na niego z uniesionymi pytająco brwiami i czekałam. Klepnęłam Sacketta w nos i bok szyi, a on nawet nie drgnął.

— Widzisz? Jest jak posąg. Wprost emanuje miłością. Chodź.

Mojesz zrobił krok do przodu i niepewnie unióśł dłoń w stronę konia, który zarżał nerwowo.

Mojesz natychmiast opuścił dłoń i się wycofał.

Parsknęłam śmiechem.

— Co, do licha?

Może powinnam posłuchać Mojjesza, gdy mówił, że zwierzęta go nie lubią. Ale tego nie zrobiłam. Chyba mu nie wierzyłam. Nie ostatni raz.

— Chyba nie zamierzasz stchórzyć, co? — spytałam prowokacyjnie. — Dotknij go. Nie robi ci krzywdy.

Mojesz podniósł swoje złotozielone oczy na mnie, zastanowił się nad tym, co powiedziałam, po czym ponownie wyciągnął dłoń i rozprostowując palce, zrobił krok naprzód.

A Sackett po prostu stanął dęba, jakby zbyt długo przebywał z Luckym. To było zupełnie niepodobne do tego konia, którego znałam całe życie i który nie wierzgnął ani razu przez te wszystkie lata, kiedy obdarzałam go swoją miłością. Nie miałam szans krzyknąć, ani nawet złapać go za uzdę. Dostałam z kopyta w twarz i poleciałam na ziemię jak worek mąki.

Krew piekła mnie w oczach, gdy otworzyłam je i zobaczyłam krokwie starej stodoły. Leżałam na plecach, a głowa bolała mnie tak, jakbym została kopnięta przez konia. Nagle uświadomiłam sobie, że *naprawdę* zostałam kopnięta przez konia. Przez Sacketta. Szok był niemal większy od bólu.

— Georgia?

Skupiłam załzawione oczy na twarzy, która nagle zamajaczyła nade mną, zasłaniając mi widok krzyżujących się krokwi i drobin kurzu

tańczących w smugach światła słonecznego przedzierającego się przez szczeliny w ścianach.

Mojżesz trzymał moją głowę na kolanach, przyciskając swój podkoszulek do mojego czoła. Mimo zamroczenia zauważyłam jego nagie ramiona i tors oraz poczułam miękkość skóry jego brzucha na policzku.

— Muszę sprowadzić pomoc, okej?

Przesunął się i położył mi głowę na ziemi, nie odrywając swojego podkoszulka od mojego zakrwawionego czoła. Staralam się nie zwracać uwagi na ilość krwi na materiale.

— Nie! Czekaj! Gdzie Sackett? — spytałam, próbując się podnieść.

Mojżesz przycisnął mnie z powrotem na ziemię i spojrział w stronę drzwi, jakby nie miał pojęcia, co zrobić.

— On... uciekł — odpowiedział powoli.

Przypomniało mi się, że Sackett nie był przywiązany. Nigdy nie musiałam go wiązać. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co musiało strzelić mu do głowy, żeby miał wierzgnąć tylnymi nogami i wyrwać się ze stodoły. Spojrzałam na Mojżesza.

— Jak kiepsko to wygląda? — próbowałam zabrzmieć jak Clint Eastwood lub ktoś, kto potrafi znieść poważną ranę głowy i nie stracić zimnej krwi. Ale mój głos lekko drżał.

Mojżesz przełknął ślinę ze współczuciem, a jego jabłko Adama poruszyło się w górę i w dół opalonej krtani. Jego dłonie także drżały. Był równie wstrząśnięty jak ja. Nie dało się tego ukryć.

— Nie wiem. Rana nie jest duża. Ale mocno krwawi.

— Zwierzęta naprawdę cię nie lubią, co? — szepnęłam.

Mojżesz nie udawał, że nie rozumie. Potrząsnął głową.

— Robią się przy mnie nerwowe. Wszystkie zwierzęta. Nie tylko Sackett.

Ja też byłam przy nim nerwowa. Ale nerwowa w pozytywnym znaczeniu. Nerwowa w sposób, który mnie fascynował. I chociaż głowa mi pękała, a oczy zalewały się krwią, chciałam, żeby został. Chciałam, żeby opowiedział mi wszystkie swoje sekrety.

Mojżesz jakby wyczuł tę nagłą zmianę we mnie, bo znienacka się zerwał i wybiegł, zostawiając mnie ze swoim podkoszulkiem przyciśniętym do skroni i nienasyconym zainteresowaniem tym nowym w okolicy dzieciakiem. Chwilę później zobaczyłam, że wraca. Za nim truchtała moja mama, a nieco dalej jego babcia. Na twarzy jego babci malował się wyraz przerażenia, zresztą podobnie jak na twarzy mojej mamy. Widząc ich zaniepokojenie, zaczęłam się zastanawiać, czy moja rana nie jest czasem gorsza, niż mi się wydawało. Doświadczyłam przeblysku kobiecej próżności, co było dla mnie czymś zupełnie nowym. Czy będę miała wielką bliznę na całe czoło? Tydzień temu uznałabym to za odlotowe. Nagle jednak poczułam, że nie chcę blizn. Chciałam, żeby Mojżesz uważał mnie za piękną.

Stał z tyłu w znacznej odległości, pozwalając dorosłym na przemówanie się i bieganie wokół mnie. Kiedy się okazało, że prawdopodobnie obędzie się bez kosztownej wyprawy na ostry dyżur, a rana została zamknięta kilkoma samoprzylepnymi bandażami, Mojżesz zniknął. Hipoterapia jednak nie nadawała się do wyleczenia jego pęknięć, lecz obiecałam sobie, że znajdę sposób na przecięnięcie się przez te pęknięcia, nawet jeśli miałyby to być ostatnia rzecz, jaką zrobię. Moje lato właśnie zmieniło się w tropikalny las deszczowy.

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



- 1. ZAREJESTRUJ SIĘ**
- 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI**
- 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ**

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA



Helion SA

Znaleziono go w koszu na pranie w pralni Quick Wash. Miał zaledwie kilka godzin i był bliski śmierci. Jego matka, młoda narkomanka, porzuciła go zaraz po narodzinach. Zmarła zresztą kilka dni później. Mojżesz przeżył — dziecko z problemami, z którego wyrósł chłopak z problemami. Był urodziwy i egzotyczny. Niespokojny, mroczny i milczący. Samotny. Budził lęk i ciekawość.

I oto któregoś lipcowego dnia osiemnastoletni Mojżesz zjawił się na farmie rodziców niespełna siedemnastoletniej Georgii. Miał pomagać w codziennych zajęciach. Był pracowity i energiczny, ale też oschły i nieprzenikniony. Fascynujący i przerażający. Georgia, wbrew ostrzeżeniom i zakazom, zbliżyła się do niego... I zaczęła tonąć.

Ta historia nie kończy się happy endem. Jest pełna bólu, niespełnionych obietnic, smutku i zawodu. To opowieść o złamanym sercu, o życiu i śmierci, o zaczynaniu od nowa, a także o wieczności. A przede wszystkim o miłości. Poczujesz ją głęboko w sercu. Przeżyjesz niezwykle emocje, strach, niepokój i słodczy młodzieńczych uczuć. Zatracisz się bez reszty, czytając o trudnej miłości, pozbawionej spełnienia.



AMY HARMON



Jest autorką bestsellerów, ale mówi o sobie, że jest „zwyczajną żoną i mamą”. Pochodzi z Levan w stanie Utah, opiekuje się dziećmi i oczywiście pisze. Pisanie zawsze sprawiało jej ogromną radość, choć pierwsze powieści opublikowała zaledwie kilka lat temu. Jej książki zostały wydane w siedmiu krajach, zdobyły wiele nagród i wyróżnień (Wall Street Journal Bestseller, New York Times Bestseller, Whitney Award, Swirl Award i inne).

 **editio**red

 Księgarnia internetowa:
<http://editio.pl>

 Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900
 **0 601 339900**

Sprawdź najnowsze promocje:
● <http://editio.pl/promocje>
Książki najchętniej czytane:
● <http://editio.pl/bestsellery>
Zamów informacje o nowościach:
● <http://editio.pl/nowosci>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

eBook dostępny wyłącznie na:
ebookpoint^{PL}



ISBN 978-83-283-2231-8



9 788328 322318

Cena 39,90 zł